KULIG

Jako huragan, jak wichura złota
pędzimy w śniegu śmiertelnej białości...
Jak młode życie, jak bujna ochota —
naprzekór śmierci co dokoła gości!..

Ogniem goreje smoliste łuczywo
i ogniem biją pieśni nasze młode!!
Zastygły zimny bór z powagą siwą
patrzy na naszą szaloną przygodę...

Jak orkan pełen wesela pędzony
lodową drogą poprzez puszcze mroźne.
Niema martwoty ni smutku ni zimy!
Jest tylko szczęście! I nic nie jest groźne!

Gdzie nas poniosą, konie opętane
tam śpiewający, szczęśni i weseli
lecimy drogą w krainy nieznane
śród martwej puszczy i śród śnieżnej bieli...

A kiedy nasze pochodnie zagasną,
kiedy rumaki nasze zwolnią biegu, —
dokoła będzie już wiosennie jasno
i pieśń skowronka zabrzmi z ponad śniegu..

Juljan Ejsmond.

rys. E. Bartłomiejczyk.

Ku postępowi.

Śmiałością odznacza się lew i tygrys, zawziętością bawół i nosorożec, niezmierną cierpliwość posiada koń, przywiązanie pies, chytrość lis, słowem każdy rodzaj zwierząt ma właściwe sobie bardziej dodatnie lub ujemne cechy charakteru, lecz najbardziej zarozumiałem stworzeniem jest bezwątpienia... człowiek.

Człowiek, dzięki rozwinięciu w swym mózgu zdolności do inicjatywy i wynalazczości, wybił się na czoło gromady innych stworzeń, poskromił je i gwoli zadowoleniu własnej pychy, uzurpował sobie specjalne prawa w świecie fizycznym i metafizycznym, a więc przyznał sobie specjalny monopol na rozum, na etykę i na nieśmiertelną duszę, oraz wydał dla siebie przywilej bezkarnego zabijania zwierząt. Według tradycyjnych pojęć słońce po to świeci w dzień, a księżyc i gwiazdy w nocy, aby człowiekowi było ciepło i widno, ziemia dlatego jest rodzajną, aby człowiek miał co jeść, a zwierzęta są po to, aby je również mógł zjadać, w ich futerka się ubierać i na ich grzbiecie paradować.

Dziś, dzięki nauce i poznaniu dziejów ziemi, zarozumiałość nasza poczyna się zmniejszać. Niezależnie od zdobyczy wiedzy, jeśli obserwujemy niezmiernie ciekawe zjawiska w społeczeństwach zwierzęcych i w stosunkach zwierząt do człowieka, widzimy niezbicie, że zwierzę posiada więcej lub mniej rozwiniętą rozumną wolę i uczuciowość, że potrafi kochać lub nienawidzieć, cieszyć się lub smucić, spełniać czyny szlachetne albo występne, słowem powoli dochodzimy do przekonania, że zwierzę nie może nie posiadać duszy.

Dociekanie w kierunku dalej idącej hypotezy co do nieśmiertelności duszy zwierzęcej wykracza już poza dziedzinę zadań łowieckich, natomiast na łowiectwie ciąży obowiązek obserwacji i skwapliwego notowania faktów, które najbardziej obojętnego człowieka zmuszają do zastanowienia się nad rozumem „bezmyślnego“ zwierza oraz obowiązek stosowania etycznych nakazów wynikających z powyższych obserwacyj.



Odjazd na polowanie na Prypeci.

Każdy z nas wielokrotnie doświadczał zawodu czy też figla jaki mu spłatał wilk, lis, a nawet zając. Okazało się nieraz, że choć myśliwy był mądry i dobrze obmyślił zasadzkę — zwierz był jeszcze mądrzejszy, bo się wykręcił z opresji. Jako przykład przytoczę z własnych obserwacyj charakterystyczne zachowanie się pewnego zająca.

Zając posiada wątły mózg i zbytnią wiarę w swoje skoki, dlatego staje się najłatwiejszą zdo-

byczą człowieka, lisa lub jastrzębia, a jednak ten mózg zajęczy w niektórych wypadkach, zwłaszcza gdy odpadnie wiara w uniknięcie niebezpieczeństwa przy pomocy ucieczki, zaczyna pracować, dochodzi do zrozumienia zamiarów przeciwnika i potrafi skutecznie uniknąć niebezpieczeństwa.

Podczas zimowego polowania z naganką, któryś z myśliwych postrzelił zająca. Było to pod samym lasem. Nim strzelec założył nowe naboje, kot powłócząc nieco zadem znikł w krzakach. Już w czasie parkotu gajowy zauważył zająca o trzech skokach, domyśliłem się, że jest to ów postrzelony. Spotykałem go później wiosną i jesienią. Miał złamany tylny skok w okolicy kolanka i zrośnięty w ten sposób, że sterczał ku górze i zając podczas biegu machał nim jak chorągiewką. Że zając ten został okulawiony i zdołał się wyleczyć — niema w tem nic osobliwego, osobliwemi stały się skutki kalectwa, a mianowicie przekonanie, że stratę jednego z dwóch rozpędowych dźwigarów musi zastąpić wysubtelnieniem zmysłów i zastosowaniem pewnej strategji obronnej.

Kotlinę począł robić stale w okolicy lasu lub krzaków, podnosił się zawsze na b. dużą odległość od strzelca lub psa bez względu na pogodę, do ucieczki wybierał teren możliwie równy i zakryty, najczęściej brózdę. Potrafił doskonale kluczyć i mylić. W lesie szedł między bagienka, zaszywał się w krzak lub chaszcze i udawał z dobrym skutkiem nieobecnego. W czasie polowań z naganką zawsze szedł na naganiaczy, nieraz chłopcy kijami do niego ciskali, starali się zabiedz mu drogę, a on przebiegał im prawie pod nogami i szedł wbrew swemu zwyczajowi w pole. Żadna siła ludzka nie mogła go zmusić do ucieczki w stronę cichej linji strzelców stojących pod lasem.

Zając ten, zwany pospolicie „kulasem", przeżył dwa ciężkie okresy polowań. Trzecia zima była wyjątkowo surowa i chociaż wykluczyłem go z pod odstrzału jako dzielnego weterana, w połowie zimy zginął, prawdopodobnie we wnykach kłusownika.

Wilk, lis i dzik wykazują daleko częściej zrozumienie zamiarów człowieka, niż zając. Dezorjentacja zająca w chwili krytycznej wynika zawsze z jego zasadniczej przysłowiowej cechy: strachu.

Strach jest uczuciem obronnem istot słabych i naturalnem objawem instynktu zachowawczego tych zwierząt, które w ucieczce znajdują ratunek. Strach opanowawszy system nerwowy zagłusza jednocześnie zdolność rozumowania, dlatego też wymieniony przykład uważam za bardziej znamienny od innych epizodycznie ciekawszych i dlatego twierdzę, że zmyślnością nazywać możemy tylko przejawy właściwych zwyczajów gatunku, wykraczanie zaś osobników po za tradycyjne nawyknienia nazwać musimy rozumem.

Aprobując zasadniczą teorję uznania w zwierzęciu istoty rozumnej, musimy również w zasadzie uznać jej prawo do życia i dalszego rozwoju drogą ewolucji. Jednakże wobec dzisiejszych bardzo konserwatywych w tej dziedzinie ogólnych pojęć, zrealizowanie podobnych teoryj przy najlepszych nawet chęciach jest niewykonalne i długo jeszcze pozostanie w dziedzinie doktrynerskich lub poetyckich mrzonek. Natomiast wykonalną jest pewna selekcja i zachowanie osobników bardziej zdolnych i rozwiniętych drogą złagodzenia warunków odstrzału.

Wśród każdego gatunku zwierząt, podobnie jak w każdem środowisku ludzkiem, są osobniki więcej lub mniej zdolne i przedsiębiorcze.*)

Zając, ów „kulas", o którym wspominałem, mimo swojego sprytu, zginąłby z pewnością podczas polowania „w kotła". Osobniki takie mogą, a nawet powinny być oszczędzone, polowanie zaś, które wyklucza indywidualną przedsiębiorczość i rozum zwierzęcia i nie daje mu możności ocalenia własnej skóry, bezwarunkowo jest nieetyczne, a tembardziej polowanie „w kotła" czyniące wrażenie ogrodzonej rzeźni, do której spędzono zwierzynę, aby ją brutalnie wymordować.

W tym kierunku potrzebne są reformy zmierzające ku postępowi.

Szlachetne łowiectwo, mające na celu ochronę zwierzyny, powinno propagować ideje uznania i zrozumienia duszy zwierzęcej i bezwzględnie zwalczać winno nieetyczne lub masowe rzezie.

Jan Szczepkowski.

---

*) Ciekawe spostrzeżenia na ten temat przytoczył Kazimierz hr. Wodziński w swoich „Wspomnieniach z życia łowieckiego".

DZIWNY WILK.

(Opowieść z lat dawnych).

Był to, w całem tego słowa znaczeniu, myśliwy „z Bożej łaski". Ogromny tułów na pękatych, jak beczki, nogach, wiecznie spocony, opięty w czerczunczową marynarkę dawnego kroju, nie nadawał się na cielesną powłokę dla duszy, przepojonej szlachetną łowiecką namiętnością, ale iskra Boża dzi-

wnem zrządzeniem tkwiła w tej obrosłej słojami tłuszczu piersi.

Pan Mieczysław był pisarzem prowentowym w dużym majątku na krańcach Białej Rusi i, jako taki, zrzadka tylko, w jakieś święto, mógł wziąć udział w gremjalnem polowaniu z ogarami na biednego zajączka, które urządzał rządca, bowiem było to za dawnych czasów, gdy prawo łowów należało do tego, kto się do niego poczuwał...

Potem, po kilku latach nieskazitelnej służby, według dziwnych, a często na kresach spotykanych kanonów logiki, pan Mieczysław, mając pełne zaufanie dziedziczki, został nadleśnym, chociaż nie miał najmniejszego pojęcia o leśnictwie. Ponieważ jednak „leśnictwo" redukowało się do ochrony lasów przed złodziejami, stawaniu na sprawach sądowych i wycinaniu co roku pewnej części lasu na opał, albo na dorywczą sprzedaż dla załatania gospodarczych niedoborów, więc pan Mieczysław, niepozbawiony pewnej swoistej, choć nader wolno wybuchającej energji, a także uczciwy w najwyższym stopniu, wywiązywał się nieźle z zadania, nie przejmując się podług swego zwyczaju niepowodzeniem i szerząc wkoło siebie atmosferę różowego humoru i rozbrajającego optymizmu.

Jako nadleśny, polował częściej, kupił też sobie strzelbę, kurkową odtylcówkę, i jeździł do lasu z własną bronią.

Strzelał nietyle źle, ile nieszczęśliwie. Największe powodzenie miewał na polowaniach zajęczych, z innej zwierzyny zabił niekiedy kaczkę. pozatem — nie udawało mu się zupełnie.

Miewał zabawne przejścia, o których lubił opowiadać z niewzruszoną flegmą swym wolnym rozlazłym głosem.

Kiedyś na letniej obławie wilczej miał przygodę, z powodu której wszyscy okoliczni myśliwi drwili zeń przez szereg lat. Sam jednak delikwent śmiał się z niej najwięcej, poczciwie trzęsąc olbrzymim brzuchem, i opowiadał każdemu, kto tylko chciał słuchać. Dodać należy, że było to w czasie gdy w zapadłym kącie kraju żadne przepisy łowieckie nie miały wzięcia, i gdzie na letniej „obławie" strzelało się do wszystkiego, co żyje.

— Stoję ja sobie, — opowiadał pan Mieczysław, w suchym borze, a wrzosy wkoło – ogromne, gdzieniegdzie tylko miejsce światlejsze. Strzelba u mnie loftkami nabita, jak potrzeba na wilki. Aż tu raptem leci głuszec, stary — ogromny, niżej i niżej i buch! — siadł we wrzosy o dwadzieścia kroków odemnie. I widzę ja jego dobrze, głowa sterczy i jedno oko na mnie patrzy. Tak ja cichutko ręką do kieszeni po śrót. Otworzył strzelbę, wyjął lofki, śrót założył, podnoszę głowę — niema głuszca — jak w wodę wpadł! Pobiegł musi na piechotę, we wrzosach skurczywszy się.

— Patrzę ja i tu, i tam, a tu szare cości ciągnie się po wrzosie. Wilk! niewielki — młody, tak i pełznie mimo mnie, kroków na piętnaście. Tak ja znowu otwieram strzelbę, wyjmuję śrót, pakuję loftki. Patrzę — a tu wilka ani śladu, — tak i przepadł! Cha — cha — cha! — wiadomo, gdyby ja do głuszca śrótu nie nabijał, a loftkami jemu zadał, — zabiłby, a i wilka z drugiej loftki można było... Ech!... i śrótem można było...

W towarzystwie tego to pana Mieczysława odbywałem większość pierwszych mych polowań.

Kto z nas nie pamięta młodocianych zapałów łowieckich, gdy strzał do kaczki—kłapaka był szczytem marzeń, a przypadkowo spotkany zając przyprawiał o taką gorączkę, że przed oczami wstawała czerwona mgła, a ręce latały, jak u zagorzałego pijaka.

W czasie wakacyjnym cały czas spędzałem na polowaniach, a ponieważ jesień, aż do Bożego Narodzenia, była nad wyraz długa, i przechodziło me siły, aby wysiedzieć cztery i pół miesiąca w mieście, pełnem gwaru, więc, korzystając z kilku dni świąt i galówek, w październiku, wyjeżdżałem zwykle na 5 dni do domu za własne, zaoszczędzone pieniądze.

Wówczas to odbywały się dzień po dniu jesienne polowania z gończemi.

Pora była zwykle cudowna. Blade już, złote słońce wędrowało po błękicie tak niezrównanym, jak toń mórz południowych, resztki żółtych i rdzawych liści nieruchomemi strzępami wisiały na drzewach, płowe trzciny i trawy odbijały od ciemnych świerków, szczerzących ku słońcu kły rudych szyszek.

Powietrze było mroźne i rzeźkie, przesycone w lesie zapachem przyciętych chłodem paproci i traw wonnych. Na nagich, obwieszonych koralowym owocem jarzębinach przydrożnych uwijały się stadka puszystych jemiołuszek, wiewiórki okazywały nadzwyczajne ożywienie, napełniając ostrem kląskaniem gęstwiny leśne, bobrując wszędzie w poszukiwaniu zimowych zapasów.

Na jeziorach kaczki zbierały się w wielkie stada, które widać było zdaleka, śpiące na lekkiej fali z pochowanemi pod skrzydła łebkami. Oko, rozróżniało barwne w zimowem pierzu kaczory i szare ich samiczki, niekiedy czerniały północne uhle, albo błyskały w słońcu białe skrzydła leśnych gągołów.

Codzienna obfita okiść poranna ułatwiała polowanie, znacząc psom wyraźne tropy dróg zajęczych, pomagając odnaleźć zaszytego w gęstwinie leśnej lub błotnych trzcinach rudego rabusia—chytrego lisa, albo polotnego kozła sarniego, który przyodział się już w piękną szarą suknię zimową,

gęstą, o długim włosie, znaczoną białym na zadzie talerzem.

Psów mieliśmy kilka. Zacna suka, Prymka, sucha, czarno podpalana, zasługiwała w zupełności na swe imię, trzymając zawsze prym w gonie.

Ona też zwykle pierwsza znajdowała zwierza, doławiając się na tropie ostrym dyszkantem, przechodzącym przy dalszym gonie w równy, wysoki dzwonek o srebrnym dźwięku, organicznie związany w mej pamięci z wyglądem i wonią jesiennego lasu. Szła pierwsza, a za nią krępy, o ponurym basie Minor, nieśmiała Płaksa i szaławiła Śpiewak, niezrównany amator wiejskich kur, kaczek i innego swojskiego dobytku.

Jeden tylko Zagraj, chytre i nieszczere psisko, był parszywą owcą w naszej złai. Leniuch skończony, nie lubił pracować w kniei i szukać tropów na własną rękę, ale albo trzymał się któregoś ze swych współtowarzyszy, albo też plątał się stale przy myśliwych, czatując w krzakach na nadbiegającego zająca i odpędzając precz od stanowiska wszelkie żywe stworzenie.

Można było dojść do pasji, gdy, zabiegając na dobry przesmyk, ku któremu szeroką wrzawą szedł przez dźwięczny las gon dzielnych ogarów, spostrzegło się raptem czarniawe, ukryte w krzakach cielsko warującego Zagraja, który znał na równi z myśliwymi najlepsze chody gonionego zwierza.

Razu pewnego na samym początku wakacji noworocznych wyruszyliśmy na łowy z panem Mieczysławem. Leśnik Ignacy prowadził sforę z pięciu psów, które z pyskami przy ziemi rwały zajadle naprzód i ciągnęły go niepowstrzymanie, aż nieborak musiał chwilami zarywać w kłus.

Obaj myśliwi skręcili tuż za dworem na prawo, na przełaj przez jezioro, aby puścić psy od cypla, ja zaś ruszyłem wprost ku znanemu przesmykowi na małej przełęczy leśnej, tak zwanej „Przerwie".

Zaklęta cisza ośnieżonego lasu objęła mię w swe ramiona. Puszyste kiście białych gałęzi tkwiły nieruchomo na tle ciemnego szafiru niebios, wesołe plamy słoneczne maściły złotem śnieg niebieski, las cały wyglądał, jak zaczarowany pałac z bajki, tkany klejnotami.

Obsypując śnieg na głowę i ramiona, przedarłem się przez gęstwiny świerkowe i oto zabłysła przedemną złota, zalana światłem słonecznem połać „Przerwy". Stanąłem i zamieniłem się w słuch.

Po chwili oczekiwania ozwał się przyciszony sygnał trąbki. Przypłynął z oddali, przytłumiony przez nawisłe śniegi, jak słabe echo dalekiej fanfary, nieśmiały i wiotki, jak te błękitne cienie wkoło mnie na jasnym śniegu. To trąbił gdzieś za lasem Ignacy na znak, że puszcza psy.



Wyjazd na polowanie, — Juljan Fałat.

Nie upłynęło pięciu minut, gdy mignęło coś ciemnego w krzakach przedemną, i zobaczyłem Zagraja, który biegł chyłkiem, zatrzymał się z boku w odległości kilkudziesięciu kroków i stanął za kępą błotną, wystawiając na mój widok tylne szynki i zakręcony w obwarzanek gruby ogon.

Złość mnie porwała.

— Poczekaj kotku, — pomyślałem, — nauczę cię chleb jadać z cudzego pieca i zajmować miejsce myśliwych.

Nieznacznym ruchem włożyłem do lufy ładunek cienkiego śrótu, wymierzyłem w szynki i pociągnąłem za cyngiel.

Drgnął pies i skoczył gwałtownie naprzód, a potem, rzucając w mą stronę brzydkie wejrzenie,

rwał w mocnych susach przed siebie, coraz dalej i dalej.

— To ambitna sztuka, — pomyślałem — ani pisnął, chociaż dostał na pewno!

Pewien byłem strzału, jak również i tego, że zasłoniętemu w przedniej połowie przez zaśnieżoną kępę nie mógł cienki śrót uczynić poważnej krzywdy na tę metę.

Po dobrym kwadransie gdzieś w ostępie ozwał się ostry jazgot Prymki, potem bas Minora, i oto zagrała cała sfora, jak organy.

Szedł gon coraz bliżej i bliżej, niecąc pożar we krwi myśliwego, cudowną muzyką zalewając cichy świat zaśnieżony.

Zbliżała się nawałnica, oto zamigało znów coś przedemną i, jak szary kłębuszek, wytoczył się zając, rwąc ostro na kulawy sztych, aż tumany śniegu pryskały na boki. Suchy strzał, szarak zrulował, koziołkując, i rozciągnął się nieruchomo, barwiąc różową plamą niepokalaną biel śniegu.

A tuż za nim wywaliła na polanę złaja i, dopadłszy trupa, otoczyła go zwartem kołem, ciężko dysząc i wywalając krwawe jęzory.

Dałem im zasłużoną odprawę i przytroczyłem zdobycz do torby.

Niebawem nadszedł leśnik, a w chwilę później pan Mieczysław, sapiący ciężko po śnieżnej drodze.

— A gdzież to Zagraj? — spytał, ocierając chustką spocone, mimo mrozu, czoło.

W odpowiedzi obejrzałem się wkoło, nic nie mówiąc.

— A czort jego wie! — odparł Ignacy. — Ten to zawsze osobniakiem trzyma się. Znajdzie się! Pójdziem dalej!

Ruszyliśmy, psy rozbiegły się znowu i przetrząsały gęstwiny, zazierając do każdego kąta i wtykając nosy we wgłębienia dawnych tropów.

I znów zerwała się wrzawa gonu, a myśmy zabiegali drogę, przecinali przesmyki i wyglądali gonionego zwierza.

Pan Mieczysław zabił bielaka, potem znów ja drugiego, na lisa jednak jakoś nie mogliśmy natrafić. Słońce przetoczyło się już ku zachodowi i spływało ukośną linją ku ziemi, zdobiąc różowym blaskiem śnieżne czuby drzew.

— A Zagraja taki nie widać! — odezwał się znowu pan Mieczysław, gdyśmy się zeszli na skraju lasu. — Coś jemu zrobiło się, czy nie na wilka narwał się gdziekolwiek?

— Eh,— skądżeby...?—odparłem.

— A cóż? Wilki wszędzie teraz włóczą się, nawet i w dzień. Rzecz bardzo prosta.

O późnym zmroku byliśmy już w domu, a w chwilę po obiedzie wszedł do mego pokoju pan Mięczysław.

— A widzi pan! — rzekł, — taki prawda, co ja myślał. Naskoczył gdzieś Zagraj na wilka, gryzł się z nim, pokrwawiony w sieni kuchennej leży.

Nic nie odrzekłem.

— Pójdziem,—mówił dalej pan Mieczysław,— zobaczy pan, pogryziony „ze wszystkiem", krwawi i wstawać nawet z miejsca nie chce.

Chcąc, nie chcąc, poszedłem zobaczyć.

— Hm, tak, dziwna rzecz! — burknąłem.

— No! Ja się dowiem — popatrzę! Jutro rano zaraz śladem pójdę, jak on biegł, to i zobaczę, gdzie on z nim związał się. Śnieg jest, pogoda dotrzyma, wszystko widzieć można będzie.

— Ładna historja, — pomyślałem sobie, — toż ten ananas po tropie dojdzie do miejsca strzału. śrót na śniegu zobaczy i przekona się, jaki tam wilk był!

Humor miałem kwaśny, żałowałem, żem się odrazu w lesie nie przyznał do mego postępku. Ale trudno! Teraz już było zapóźno.

— Jakoś to będzie, — pocieszałem się, – kota ogonem zawsze można będzie jutro wykręcić. Przyznać się i chęć ukrycia w żart obrócić. Żebyż to śnieg w nocy spadł!

Ale życzeniu mojemu nie stało się zadość. Pogoda była wciąż prześliczna. Wygwiażdżone niebo i silny mróz zapowiadały dzień słoneczny. Pierwsza myśl po przebudzeniu była o pogodzie, rzuciłem okiem na szyby, zaróżowione od słońca, pokryte kwieciem mrozu, i zakląłem zcicha.

Pan Mieczysław skoro świt wyruszył do lasu i nie wracał, mnie zaś dzień wlókł się nieznośnie, a myśl kręciła się wciąż koło tej jednej głupiej sprawy.

Ciemno już było zupełnie i zapaliłem właśnie lampę w mym pokoju, gdy dały się słyszeć ciężkie kroki w korytarzu, drzwi się uchyliły i wszedł nadleśny.

— Ha!—pomyślałem,—chwila się zbliża!

— Jaż panu mówił, — ozwał się gość swym dobrodusznym, zatłuszczonym głosem, — że on z wilkiem związał się!

Patrzyłem na niego nieufnie, z podełba.

— Szedł ja śladem, aż przyszedł w to miejsce, gdzie gryźli się oni. Wydeptano wkoło aż strach! Krwi masa i szerść tak i leży wszędzie. Musi zdrowa perypetja tam u nich była. Ale mocny pies, ten Zagraj, nie dał się wilkowi!

Milczałem.

— A spotkał ja też Leona z Zabołotników, to on właśnie przez błota jechał i widział, jak oni gryźli się, tylko śnieg kołem sypał się, — mówi, a oni, wczepiwszy się jeden w drugiego—wkółko... wkółko...

Gadał jeszcze czas jakiś o lesie, o ludziach, których spotkał, wreszcie wyszedł, sapiąc, a ja uderzyłem się rękoma po kolanach.

— Ha! mosterdzieju, — szepnąłem, — teraz widzę, jak ciężko ci po takim śniegu chodzić i trop śledzić.

Wyzdrowiał Zagraj, lata minęły, a zacny pan Mieczysław dotychczas jest przekonany, że pies spotkał się podówczas z wilkiem, i ani mu przez myśl nie przejdzie, że był to wilk nad wyraz osobliwy...

Włodzimierz Korsak.



Parę słów o dubeltówkach „Midland Gun C-o London".

Polując z panem Włodzimierzem Ordą miałem możność oglądania w jego rękach broni o rzadkiej jakości, której następnie próbowałem osobiście.

Uznając jej znakomite zalety, pragnę swemi wrażeniami jakie odniosłem ze strzału podzielić się z szerszem gronem p. p. Myśliwych.

22-go października 1923 r. polowałem z P. Ordą w Pińszczyźnie na kaczki. Osad kaczek, o którym nas uprzednio zawiadomiono, zebrał się w szuwarach na małej przestrzeni. Stanęliśmy obok siebie w odległości 30 — 40 kroków. Pan Orda tym razem miał nowo nabytą dubeltówkę „Midland", ja zaś wierny, wypróbowany dryling „Tetzner" obie bronie 12 k.

Od pierwszych strzałów różnica bicia naszej broni uwydatniła się wyraźnie. P. Orda strzelał



Odpoczynek po polowaniu (od lewej ku prawej stronie: pp. Engelhardt, gen. G. Macewicz i Włodz. Orda).

i zabijał kaczki na tak wielką odległość, o jakiej z moim „Tetznerem“ nie mogłem nawet marzyć. — Normalny strzał mego sąsiada był na 100 kroków, część kaczek „Midland“ ściągnął na dalszą metę. Oprócz tego ja nie odnalazłem 16-tu sztuk zabitego ptactwa, pan Orda natomiast tylko dwóch!

Na następne polowanie chcąc wypróbować tą broń pożyczyłem „Midland“ od p. Zieleckiego — i zostałem wprost zdumiony memi strzałami.

Strzelałem, do jesiennych, już bardzo ostrożnych, kaczek, przeważnie krzyżówek, na ogromną odległość 120, 130 kr. zabijając je na miejscu. Muszę zaznaczyć, że nie były to fenomeny poszczególne lecz ciągłe strzały, bo na odległość 80—120 kroków zabiłem 30 kaczek. Z ogólnej ilości 56 zabitych zgubiłem tylko jedną podgorzałkę.

22 — 23-go listopada b. r. brałem również „Midlanda“ na zające i lisy i tym razem również osiągnąłem niespodziewane wyniki. Lisa zabiłem 3 m/m. śrutem w strasznych gąszczach i kilka zajęcy w odległości 80-ciu kroków.

Przed wojną miałem rozmaite dobre bronie, jak to: „Hollanda“, „Grinera“ i „Filda“, (nie mówiąc o broni belgijskiej i niemieckiej), muszę stwierdzić, że podobnie świetnie bijącej, wprost doskonałej broni jak „Midland“ nie spotykałem.

Gen. Gustaw Macewicz.

Z ruchu wydawniczego.

Gen. Bronisław Grąbczewski. „Przez Pamiry i Hindukusz do źródeł rzeki Indus“ z 82 ilustracjami. Nakład Gebethnera i Wolffa.

(Dokończenie).

O spotkaniu z niedźwiedziem pisze gen. Grąbczewski:

W nocy przez sen usłyszałem nagle, że konie, uwiązane do wbitych w ziemię żelaznych kołków, poczęły się szamotać, chrapiąc i wyrywając kołki. Wyskoczyłem z namiotu boso z nieodłączną trzyrurką w ręku, w której jedna lufa była nabita kulą stożkową, druga—kulą dum-dum, a trzecia śrutem, i przy słabym blasku gwiazd zobaczyłem średniej wielkości niedźwiedzia tybetańskiego, który myszkował dokoła kuchni obozowej, o 25 — 30 kroków ode mnie. Złożyłem się, lecz strzelać było mi niewygodnie, gdyż opodal stał namiot kozacki, więc, pomimo dotkliwego zimna, skoczyłem parę kroków wbok. Niedźwiedź dojrzał, czy poczuł mnie, ryknął przeciągle i ruszył kłusem, dopiero o 10 kroków ode mnie stanął na tylnych łapach i odsłonił pierś śnieżnej białości. Pozwoliłem mu podejść tak blisko, bo ręce i zęby dygotały mi z zimna, i w ciemności wziąłem go na cel, gdy zobaczyłem białą tarczę. Dałem dwa strzały jeden po drugim, i niedźwiedź runął momentalnie, rwąc nerwowo pazurami ziemię. Na odgłos strzałów wybiegli ludzie z namiotów i wnet zajęli się oprawieniem niedźwiedzia, gdyż o świcie mieliśmy ruszyć w dalszą drogę.

Dzień przedtem spotkaliśmy niedźwiedzia przy jeziorze Czak-maktyn-kul, lecz zobaczył on nas zdaleka i zemknął w góry. Nie ścigałem go, ponieważ niedźwiedziny ani kozacy, ani krajowcy nie jedzą, z zasady zaś strzelam do zwierzyny tylko w obronie własnego życia, albo w celu zdobycia mięsa lub skóry. Byliśmy, oczywiście, na wielkim szlaku, którym niedźwiedzie, korzystając z nieobecności ludzi w tej części kraju, przeciągały ze skalistego Hindukuszu na trawiaste równiny Pamirów, w celu łatwego polowania na świstaki, których wszędzie było mnóstwo.

W innym miejscu spotykamy następujący opis:

Przez trzy długie dni włóczyliśmy się z wąwozu do wąwozu, bez wyniku, wdzierając się na lodowce i strome zbocza. Zato zwierzyny wszelkiej mieliśmy aż do zbytku i przytem zwierzyny takiej, co się nie bała i uciekała dopiero po strzałach, które głośnem echem rozlegały się w skalistych wąwozach. Ogromne dzikie barany himalajskie nahury (papaje), ze wspaniale zakręconemi rogami, pasły się na trawiastych zboczach Himalajów stadami po 16 do 60 sztuk. W skalistych wąwozach żerowały stadka kóz po 7 — 12 sztuk, a każde z samcem rogaczem, broniącym zaciekle swego stadka. Za niemi skradała się pantera azjatycka i bars (kafłan) oraz wilki. Większych stad wilków nie spotkałem. Trzymały się one stadkami po 5—6 sztuk i zawsze zdaleka, czając się tak, że raz tylko mogłem strzelić. Śladów jaków*) nie spotykałem; polowałem na nie w rok potem w pustyni Tybetu. Natomiast niedźwiedzi było sporo. Charakterystyczne ślady ich łap, tak przypominające na śniegu stopy ludzkie, widziałem często. Najwięcej wszakże zabijaliśmy dzikich himalajskich

*) Poephagus grunniens.

indyków; są to ogromne ptaki, w jesieni bardzo tłuste, z mięsem o przepysznym smaku.

W owych właśnie okolicach upolowałem największego kozła w swem życiu, bo miał aż 46 karbów na rogach, co podobno odpowiada ilości przeżytych lat. Staliśmy wtedy obozem nad małem jeziorkiem wśród wspaniałej łąki, wciśniętej w skalisty wąwóz z wiecznie śnieżnemi zboczami. Wyszedłszy o świcie z namiotu, zobaczyłem stadko kóz, które spuściło się ze zboczy górskich i, nic sobie nie robiąc z obozu, szło spokojnie ku przeciwległej stronie jeziora do wodopoju. Na przedzie powoli kroczył samiec, prawie czarny, z długą brodą i z takiemi dużemi rogami, że mu sięgały do grzbietu. Nigdy nie widziałem takich ogromnych rogów i takiego czarnego kozła, więc zapragnąłem zdobyć go do zbiorów; że zaś jezioro miało co najmniej 600 kroków szerokości, a na taką przestrzeń na pewny strzał liczyć trudno, więc, zawoławszy jednego z kozaków i Chodża Nazara, począłem wraz z nimi skradać się do stadka. Szło ono powoli, żerując, lecz gdy się zdawało, że już już podsunę się na strzał, nagle 2 — 3 zręcznemi skokami wbok stadko znowu oddalało się o 300 400 kroków. Po godzinnem tropieniu wznieśliśmy się na ogromną wysokość, skąd nasz obóz wydawał się niby jakaś plamka. Bez tchu, z drżącemi nogami i rękoma, pod wpływem zapału myśliwskiego wdzieraliśmy się na takie urwiska, że przy spojrzeniu na dół można było dostać zawrotu głowy. Samiec ciągle szedł ostatni i mierzył mię wściekłemi, krwią nabiegłemi oczyma. Parokrotnie zatrzymywał się i dopuszczał na pewny strzał z ekspresu, lecz stawał w takich miejscach, że raniony lub zabity musiałby runąć w przepaść, i skóra z rogami byłaby na nic! Raptem, gdy, wdarłszy się na jakieś urwisko i trzymajac się rękoma, pragnąłem tchu uchwycić, samiec błyskawicznie ogromnemi skokami rzucił się ku mnie. Stropiony niespodziewanym atakiem, odruchowo chciałem się cofnąć i omal nie runąłem w przepaść; zanim się złożyłem, kozioł był tuż: strzeliłem w skoku. Zwierzę skoczyło wgórę i spadło w przepaść, ciągnąc za sobą dużo kamieni.


Znakomity podróżnik
Gen. Bron. Grąbczewski.

Rozpacz mię ogarniała, gdy spojrzałem na dół: z jakich urwisk trzeba było się spuszczać! Pomagając jeden drugiemu, zaledwie w południe wróciliśmy do obozu zupełnie wyczerpani. Po trofea poszedł Chodża Nazar dopiero popołudniu i odnalazł je prawie na samym dole, lecz w stanie okropnym. Skóra była kawałami wyszarpana na ostrych występach skał, brakło połowy łba i nosa, a przytem orły-brodacze wyrwały piersi i wnętrzności. Na szczęście, rogi ocalały. Chodża Nazar odrąbał je toporkiem i przyniósł, ja zaś tylko je sfotografowałem, gdyż wozić ze sobą nie mogłem z powodu wielkości i niemożliwości opakowania.

Gdzieindziej czytamy:

Było około 2 po południu, pora, kiedy zwierzyna jeszcze odbywa popołudniową sjestę, leżąc gdzieś na zboczu górskiem, ogrzanem przez słońce. Już na łące naszej widzieliśmy ślady i gnój papajów*), które, oczywiście, przychodziły tu na żer o świcie lub do wodopoju. Poszliśmy w stronę lodowca, trzymając się południowej jego części, gdzie widać było boczne doliny. Po drodze z pod kamieni wyskoczyło parę małych zajęcy pamirskich, które, zdziwione widokiem niespodziewanych gości, stawały słupka, przyglądały się nam ciekawie i oddalały się powolnemi skokami. Nie strzelałem, gdyż nie chciałem płoszyć grubszej zwierzyny. Zresztą na naszą wygłodzoną kompanję trzebaby przynieść co najmniej dziesięć takich małych kociaków.

Dalej pod zwisającą skałą, przy samym lodowcu, trafiliśmy na świeże legowisko niedźwiedzia, który odszedł stamtąd tak niedawno, że zgnieciona trawa jeszcze się nie podniosła, a świeży nawóz nie stracił wstrętnego zapachu. Misia, oczywiście, spłoszył gwar naszej karawany a tak mu się nie chciało uchodzić z wysiedzianego miejsca, że wdarł się na piętrzący się obok lodowiec, skąd mógł nas lepiej obserwować. Na lodzie widać było ślady pazurów, któremi się czepiał, wdzierając się na lodowiec. Posłałem za nim Chodża Nazara, żeby wyśledził, dokąd niedźwiedź poszedł dalej, gdyż nie chciałem iść za nim, sądząc, że spłoszy on dzikie barany, które, choć nie uciekają przed nim, lecz ustępują mu z drogi. Sam, w towarzystwie kozaka, począłem zwolna wspinać się po miękkiem zboczu góry, chcąc obejść lodowiec. Nie uszedłem jednak nawet 200 kroków, gdy usłyszałem wystrzał z lontówki, a potem dwa jeden po drugim z Winchesteru. Domyśliłem się, że to Chodża Nazar zetknął się niespodzianie z niedźwiedziem i rozpaczliwie się broni przed jego natarciem. Bie-

*) Dzikich baranów.

gnę więc, ile sił starczy na lodowiec i widzę, że w dole, między dwoma odłamami lodu leży niedźwiedź, a wprost ku niemu pełznie na grzbiecie Chodża Nazar, daremnie starając się utrzymać rękoma i nogami na śliskiej powierzchni lodowca. Na szczęście, nim się Chodża Nazar stoczył, niedźwiedź życie zakończył. Na strzały przybiegli z obozu Kandżuci i wspólnemi siłami wyciągnęli Chodża Nazara i sporego niedźwiedzia, który chociaż z rodzaju tybetańskich (czarny z białą obrożą i piersią), był jednak stosunkowo bardzo duży.

Okazało się, że Chodża Nazar, idąc śladem niedźwiedzia, ujrzał go w dole między dwoma odłamami lodu, zaledwie o 30—40 kroków od siebie. Miś widocznie nie chciał odchodzić daleko od swego legowiska, mając wbród zajęcy, które wydłubywał z norek pod kamieniami, i wolał przeczekać na lodowcu, póki my nie pójdziemy dalej. Chodża Nazar nie wytrzymał, strzelił z lontówki, w którą wierzył jak w Koran, strzaskał niedźwiedziowi tylko lewą przednią łapę. Rozwścieczony Miś, rycząc, polazł wgórę. Chodża Nazar zdarł z pleców Winchester, z którym się nawet w nocy nie rozstawał, i wypalił dwukrotnie na bardzo bliską metę. Miś potoczył się na dół, ale i Chodża Nazar pośliznął się w chodakach, upadł nawznak i, konwulsyjnie chwytając się za wszelką oporę. zwolna toczył się do niedźwiedzia.

Po takiej salwie nie było nadziei, byśmy znaleźli w bliskości papaje, tem bardziej, że i kozak strzelał do czegoś, kiedy biegłem na pomoc Chodża Nazarowi; poszedłem więc do obozu zmartwiony, że mię pech prześladuje i zasiadłem do pisania listu do Safder-Ali-Chana. Nadszedł jednak kozak i przyniósł wspaniałego indyka himalajskiego (ułar); indyki te w jesieni bywają tak tłuste, że nie mogą się zerwać i kilkadziesiąt kroków biegną, machając skrzydłami, zanim się zdołają wzbić w powietrze. Po strzałach Chodża Nazara kozak zobaczył stadko indyków, złożone z 5 — 6 sztuk, które uciekało w góry, jednego z nich zabił. Mięsa przeto mieliśmy wbród. Zarządzono obfitą wieczerzę. Wprawdzie kozacy i moi krajowcy czuli wstręt do niedźwiedziny, lecz, widząc, że jem ją z wielkim apetytem, również zabrali się do niej, zapewniając, że wolą niedźwiedzia, niż długouche zające. Kandżuci jedli bez skrupułów.

O indykach himalajskich pisze Grąbczewski:

Polowanie udało się wybornie. Za pierwszem wyjściem, o kilometr od obozu, już spotkałem stadko baranów nahurów (papajów) i zdobyłem dwa młode okazy, które dostarczyły nam wiele wspaniałego mięsa; oprócz tego Chodża Nazar z kozakiem, jak tylko słońce poczynało przygrzewać, wspinali się na skaliste wierzchołki górskie, gdzie stale grzały się na słońcu stadka indyków himalajskich, opisanych i nazwanych mojem imieniem (Tetraogallus himmallayensis grombczewskii*) przez starszego zoologa Akademji Nauk w Petersburgu, W. Bianchi. Trudność polowania polega na tem, że brunatne opierzenie indyków tak doskonale jest przystosowane do barwy skał, iż można przejść obok stada, nie zauważywszy go, jeżeli same indyki nie poruszą się i nie poczną uciekać. Nadto trzymają się one ogromnych wysokości, i trzeba mieć dobre płuca i zdrowe serce, żeby do nich dotrzeć. Pomimo tego, wytropiwszy stadko, myśliwi moi wybijali je doszczętnie, przynosząc do obozu po 5—6 sztuk ptaków, z których każdy dawał 6 — 7 funtów niezrównanego mięsa i około funta czystego tłuszczu, w zupełności zastępującego nam masło.

O polowaniu na antylopy czytamy co następuje:

Myśliwy nasz, Chodża Nazar, z jednym kozakiem poszedł w góry szukać zwierzyny, gdyż w zapasie mieliśmy tylko dwa żywe barany i — żadnych zasobów pieniężnych! Co do ostatnich niewiadomo było, kiedy nadejdą, a nawet czy nadejdą. Ja z Fazył-bekiem zająłem się spostrzeżeniami astronomicznemi i przyprowadzeniem do porządku zdjęć topograficznych, dzienników, spostrzeżeń meteorologicznych i t. d. Było tak gorąco, że pracować w namiocie nie mogłem, a na otwartem powietrzu od czasu do czasu przeciągał zimny szkwał z gór lodowych. Przed południem wrócili nasi myśliwi, wioząc na koniu dwie duże antylopy zupełnie czerwonoskóre, jakich na Pamirach i w Tian-Szanie przedtem nie spotykałem. Krajowcy nazywają je „jurga“ (inochodnik, stępak), z powodu ich zupełnie odrębnego chodu, przypominającego bieg konia-inochodnika. Czerwony kolor ich szerści tak dokładnie naśladował barwę czerwono-żółtych gór, na których się one pasły, że trzeba było mieć oczy kirgiskie. aby je rozróżnić wśród czerwonych piasków.

Zachęcony opowiadaniem, skończywszy obserwacje popołudniowe, zawołałem jeszcze kucharza naszego, Sadyrdyna, i poszliśmy na polowanie we cztery strzelby. Pokazało się, że antylopy te trzymają się wyżyn, niewiele niższych od linji wiecznego śniegu, która na południowej stronie gór przechodziła na wysokości 4,910 m. n. p. m.

Zapadał już zmrok, gdyśmy osiągnęli tę wysokość. Już miałem dać sygnał do odwrotu, gdy z bocznego wąwozu wyskoczyło stadko antylop, złożone z 7 sztuk, i pomknęło wzdłuż naszej linji,

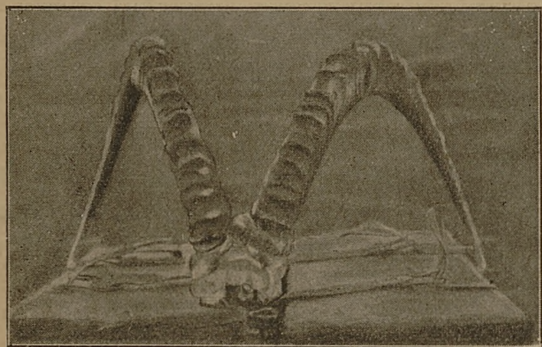
---

*) Synoptyczne tablice łownych ptaków P. Buturlina, str. 69, punkt B Petersburg. Drukarnia Włodzimierska, 1901.

gdyż szliśmy rozciągnięci o 50—100 kroków jeden od drugiego. Rozległy się strzały, i z całego stadka tylko jednej samiczce udało się ujść z życiem. Ściągnęliśmy zabite w jedno miejsce, naradzając się, jak je dostawić do obozu. Przenieść 6 sztuk we czterech nie mogliśmy; zostawić na noc było niepodobna, gdyż nietylko poczynało się naszczekiwanie szakali, które jak z pod ziemi wylazły, lecz po drodze widzieliśmy stado wilków. Była jesień. Wilki zbierały się już w większe stada, i zdawało mi się, że stadko „jurga“ dlatego tak wpadło na nas i przebiegło nam przed frontem, że je goniły wilki.

Po naradzie postanowiliśmy wypatroszyć naszą zdobycz, dwa małe roczniaki nieść, a cztery wielkie ciągnąć za tylne nogi po ziemi. Było zupełnie ciemno, kiedy skończyliśmy robotę i ruszyli z powrotem do obozu.

Przyłączył się do nas — pisze na innym miejscu gen. Grąbczewski—myśliwy pamirski.



Rogi kozła zabitego w pobliżu przełęczy Kalik.

Nowy nasz znajomy, wysoki, szczupły, trochę ospowaty, był zawodowym myśliwym i żył oraz utrzymywał rodzinę z tego, co mu jego strzelba przynosiła. Jeździł na młodym jaku, którego sam wyhodował, a ponieważ ten trzylatek jeszcze się nie rozrósł, więc Juzuf-Ali wyglądał jak Don Kiszot na swoim Rossynancie. Nieodstępnym jego towarzyszem był psiak, nadzwyczajnie wytresowany: przy podchodzeniu zwierza czołgał się za swoim panem, nigdy nie zaskomlał i niczem się nie zdradził; po strzale rzucał się na zwierzę z szalonem szczekaniem, skacząc mu ciągle do oczu i starając się je zatrzymać lub zawrócić do miejsca, gdzie zostawił swego pana. Taka tresura ma szczególne znaczenie, jeżeli się weźmie pod uwagę fakt, że tamtejsi myśliwi znają tylko strzelby, zapalające się lontem. Jest to długa jednorurka, z której strzela się kulą, wielkości bardzo grubego grochu na odległość do 200 kroków. Oczywiście, każdy myśliwy zna dobrze proch, którym strzela, i ma zawsze swoją miarkę do prochu, przywiązaną do prochownicy. Ponieważ strzelba jest bardzo ciężka, i utrzymać ją w ręku trudno, więc o 30 cm. od wylotu lufy przytwierdzone są widełki, na których myśliwy opiera lufę i wtedy dopiero celuje. Strzelanie w lot z takiej strzelby jest, oczywiście, wykluczone. Na zwierza bardzo wielkiego, np. na jaka, lub niedźwiedzia nabijają dwie kulki, przekładając je kawałkiem przetłuszczonego gałganka i zwiększając stosunkowo dozę prochu. Celność strzału prawdziwego myśliwca jest rekordowa. Setki razy widziałem, jak taki myśliwy na 200 kroków wybijał 20-kopiejkową monetę rosyjską, wstawioną w rozszczepioną gałązkę. Ta celność strzału zadziwia tem bardziej, że strzelec nie przykłada kolby lontówki do ramienia, jak to my czynimy, lecz trzyma ją pod pachą. Trzymając zaś broń w takiem położeniu, ja przynajmniej nigdy trafić nie mogłem. Trzyma on jednak broń swoją w ten sposób z konieczności, żeby uchronić oczy od wybuchu prochu na panewce, przy dotknięciu go zapalonym lontem.

Talent myśliwego polega jednak nietylko na celności strzału, lecz i na umiejętności podejścia czujnego zwierza na odległość 200 kroków. Tu bierze się pod rozwagę wszystko, co może myśliwego zdradzić lub ukryć.

Więc naprzód—kierunek wiatru, uprzedzający zdaleka czujną zwierzynę o zbliżaniu się wroga; następnie oświetlenie i konfigurację terenu: najmniejsze wgłębienie, większy kamień lub grudkę ziemi—wszystko trzeba dojrzeć i wlot wyzyskać, co, naturalnie, zdobywa się długoletnią praktyką.

Wreszcie myśliwy jest u celu, na 200 kroków od zwierzęcia, które spokojnie żeruje, nie przeczuwając śmierci. I tu dopiero poczynają się nowe trudności: trzeba krzesiwem dobyć iskrę*) i zapalić lont, rozdmuchać go, żeby palił się równo na całej swej szerokości, gdyż inaczej wybuch prochu na panewce będzie nierówny i może nie zapalić ładunku w lufie; należy podsypać świeżego prochu na panewkę, a że proch jest swoisty, nierówny i grubej roboty, więc już na panewce rozgniata się go paznogciem; trzeba wysunąć lontówkę naprzód, oprzeć widełki o ziemię i podnieść lufę. Wreszcie wszystkie manipulacje skończone bez najmniejszego szelestu i myśliwy jest gotów do strzału. Lecz zwierzę, do którego myśliwy się skradał, żeruje i albo odeszło, albo zmieniło pozycję i stoi w pozie niedogodnej do strzału. Wtedy myśliwy albo zamiera bez ruchu i czeka, żeby zwierzę zmieniło pozycję i stanęło tak, by myśliwy mógł dać strzał śmiertelny, albo też musi pełzać

*) Zapałek krajowcy tamtejsi oczywiście nie znają.

dalej i powtórzyć wszystkie swe poprzednie manewry.

Po strzale, w ciągu 2 — 3 minut, myśliwiec pozostaje zupełnie bezbronny: musi przedmuchać lufę, szydełkiem oczyścić zapał, wsypać ładunek prochu, przybić go dobrze przetłuszczonym gałgankiem, przybić loftkę i przerobić wszystkie manipulacje z panewką. Dobrze jest, jeżeli zwierz, trafiony w serce padł lub uciekł, nie atakując myśliwego z niesłychaną wściekłością. I tu dopiero poczyna się prawdziwa praca psiaka, który z zaparciem się siebie, nie bacząc na niebezpieczeństwo, rzuca się na stokroć silniejsze zwierzę, przejmuje na siebie całą złość jego i rozpęd i, zręcznie unikając razów, odwodzi rozwścieczoną bestję wbok, dając swemu panu możność nabicia jego pierwotnej broni.

W rok później, podróżując po półn. zach. Tybecie, doświadczyłem na sobie korzyści takiej tresury. W forcie kaszmirskim Szachidułła Chodża do wyprawy mojej przyłączył się miejscowy Kirgiz. Myśliwy ten identycznie podobny był do przysłanego nam przez Chodża Nazara, z tą tylko różnicą, że jeździł na wysokim, chudym jaku, z wysuniętym ciągle czarnym ozorem, z ktorego kapała piana; psiaka również miał tak chudego, iż rozpacz ogarniała, gdy się patrzyło na te zwierzęta. Właściciel ich nigdy nie pozwalał im najeść się dosyta, zapewniając, że na tych wysokościach (średnia wysokość dolin, które przebywaliśmy, wynosiła około 17,000 stóp n. p. m.), syte i tłuste zwierzęta pracować nie mogą. Jechaliśmy już tydzień po pustyni, spotykając duże stada dzikich osłów, czasami stadka pachworogich antylop, które strzelaliśmy na potrzeby wyprawy. Widzieliśmy ślady dzikich jaków, nawet świeży ich gnój, lecz samych jaków, tych najpotężniejszych zwierząt Azji Wysokiej, nie udało się nam spotkać. Nagle, wyjechawszy na jakieś wzgórze, aby określić dalszy kierunek drogi, zobaczyłem stado jaków, pasących się na łące około zamarzniętego jeziora. Błyskawicznie cofnąwszy konia za zbocze góry, oddałem go podręcznemu kozakowi i kazałem mu zatrzymać karawanę, która w liczbie 36 koni ciągnęła o 2 — 3 klm. za mną żeby gwarem nie spłoszyła jaków. Potem z myśliwcem Idrys-Kułem popełzliśmy na brzuchach wgórę, żeby rozejrzeć się w położeniu i uplanować, jak podejść zwierzęta.

Stadko, złożone z 16 sztuk i kilku młodzików, pasło się na łące o 500 metrów od nas. Na przeciwległem zboczu stał przewodnik stada, ogromny jak, z olbrzymiemi rogami, i to leniwie skubał trawę, to znów bacznie rozglądał się po okolicy. Powietrze było tak przejrzyste, że pomimo oddalenia widziałem jasno każdy ruch zwierzęcia.

Na uboczu, na wiecznym śniegu, leżały dwie krowy. Przy jeziorze brodziło stado antylop, które, w obawie przed wilkami, zawsze się trzymają stada jaków. Jeszcze dalej, na drugim końcu jeziora, widać było duże stado osłów z kilkuset sztuk, ruchliwie przesuwające się z miejsca na miejsce.

Teren między nami a stadem stanowił łagodny i równy spadek, i podejść stado z naszej strony było rzeczą niemożliwą. Za prowodyrem natomiast widać było głęboką wyrwę od wody deszczowej, która mogła służyć za pewne ukrycie, lecz trzeba było zboczami obejść przynajmniej 3—4 klm.; że zaś znajdowaliśmy się na wysokości 5,200 m. n. p. m., gdzie każdy ruch powoduje brak tchu, i przytem w grudniu, przy—30—35° C. mrozu, a więc ubrani ciepło i ciężko, przeto mieliśmy zadanie bardzo trudne. Dopiero po 3 godzinach mozolnej pracy udało mi się obejść dolinkę, wspiąć się na przeciwległe zbocze, dostać do wyrwy i przez nią spuścić się do mego towarzysza, który, jako tubylec, łatwiej zwalczał napotkane trudności i czekał mię z niecierpliwością. Wreszcie dopełzłem, nie mogąc złapać tchu, cały mokry z wyczerpania, pomimo szalonego mrozu. Ręce mi się trzęsły i w skroniach dudniało. Musiałem odpocząć co najmniej 10—15 minut i przygotować się do walki na śmierć lub życie.

Nareszcie uspokoiłem się o tyle, że mogłem być pewny strzału. Uklękliśmy i ostrożnie wyjrzeliśmy z za wyrwy. Stada na łące już nie było: odeszło na popołudniowy odpoczynek na zbocze przygrzane słońcem. Prowodyr, do któregośmy się skradali, leżał o 120 kroków od nas w jakiemś wgłębieniu i drzemał, oparłszy pysk o ziemię. Pozycja do strzału nie była dogodna, gdyż nad wgłębieniem widniał tylko wąski kawał grzbietu jaka. Po drugiej stronie doliny, na zboczu wzgórza, z ktorego zobaczyliśmy stado, stał młody jak; patrzył w naszą stronę i głośno wciągał powietrze. Musiał być bardzo podniecony, gdyż bił kopytami o ziemię i wysoko podniósł ogon, kończący się wspaniałym buńczukiem. Oczywiście, dojrzał nas, czy zwęszył, lecz nie zdawał sobie sprawy, jakie niebezpieczeństwo przedstawiamy dla stada. Nie było chwili do stracenia. Szybko wysunęliśmy broń i daliśmy strzał jednocześnie, mierząc w grzbiet jaka, widoczny nad wgłębieniem. Jak błyskawicznie zerwał się z miejsca, szybko okręcił się w miejscu i rzucił się na nas z takim impetem, że nie zdążyłem założyć nowego ładunku do ekspresu, a już ujrzałem potwora, zdawało się, tuż nad sobą. Przykucnąłem w wyrwie, przycisnąwszy się do jej

ściany. Z opowiadań Kirgizów wiedziałem, że jaki zawsze atakują wroga, pędząc zwartym szeregiem, tratują wszystko kopytami i uderzają rogami w ziemię z taką siłą, iż bryły jej i kamienie lecą w powietrze. Lecz przebiegają one tylko raz jeden i nigdy nie wracają. Jeżeli więc na ich drodze trafi się kamień lub wyrwa, należy się przycisnąć do niej, a stado przebiegnie w rozpędzie, instynktownie przeskakując przeszkodę. Tak właśnie popędziło całe stado jaków o kilkadziesiąt kroków poniżej nas i zniknęło w pustyni.

Tymczasem towarzysz mój w mgnieniu oka spuścił ze smyczy swego psiaka, który, wściekle ujadając, rzucał się i podskakiwał do pyska jaka. Ten zapewne wziął psa za wroga, który go poranił, zapomniał o nas i popędził za psiakiem, starając się podrzucić go rogami lub dostać pod kopyta.

Za 8 — 10 minut zobaczyliśmy psiaka; zatoczywszy koło, prowadził on na nas jaka, który szedł znacznie wolniej, widocznie wyczerpany. Krew obficie lała mu się z ogromnej rany na grzbiecie; krwawa piana spływała z wysuniętego czarnego ozora, który zwieszał się z pyska na dobrych parę cali. Psiak ujadał z niesłabnącą energją i wciąż rzucał się jakowi do oczu.

Po chwili jak zrównał się z nami i szedł tylko o 50—60 kroków. Wtedy spokojnie daliśmy ognia: mierzyłem pod łopatkę. Jak padł na kolana, nerwowo chwytając zębami za ziemię, i po chwili przewrócił się na bok, psiak zaś chciwie chlipał krew, obficie płynącą z otwartych ran.

Byłem zupełnie wyczerpany i ani kroku zrobić nie mogłem. Kirgiz zostawił mię z psem przy jaku, w celu ochrony naszej zdobyczy od drapieżników, szczególniej szakali, które, jak z pod ziemi, zjawiały się dokoła i, pojękując, oczekiwały na swój udział w uczcie.

O tygrysach mówi nam następujące opowiadanie:

Zarzuciłem strzelbę na ramię i poszedłem się przejść. Na zasiewach kukurydzy zimowiska krzątał się Kirgiz, przy pomocy łopaty przepuszczając wodę rzeczki na pola. Podszedłem bliżej. Widocznie Kirgiz był chory na malarję. Pytam, co tu robi. Odpowiada mi, że pełni kolejną dwutygodniową służbę z aułu i przyszedł z letniska, by polewać pola, lecz zachorował ciężko i czeka, aż go zastąpi kto inny. Z rozmowy z nim dowiedziałem się, że miejscowość ta nazywa się „Jułbarsny juły“ (droga tygrysia), a to z tego powodu, iż szlakiem tym w jesieni ciągną tygrysy ze wszystkich dolin pasma gór Aleksandrowskich, kierując się ku ścieżkom karawanowym, któremi kupcy rok rocznie przepędzają w jesieni setki tysięcy baranów na sprzedaż z Siedmiorzecza do Fergany; niema ani jednej nocy, by go tygrysy nie atakowały, i dlatego mieszka on w chałupie bez drzwi, do której się spuszcza przez otwór w dachu, zamykany szczelnie kamieniem. Z ciekawością obejrzałem to oryginalne mieszkanie. Sufit był z grubych belek, zwierzchu zawalonych kamieniami, otwór zaś zamykał się ciężkim piaskowcem, w środku którego umocowany był żelazny hak, z grubym sznurem. Kiedy kamień pokrywał otwór, sznur przywiązywano do mocnego kołka, wbitego pośrodku podłogi chałupy, tak że nie można było poruszyć kamienia z miejsca. Na belkach dachu zauważyłem ślady pazurów tygrysich. Widocznie drapieżniki czuły łatwą zdobycz, wskakiwały na dach, lecz do wnętrza dostać się nie mogły. Kirgiz wychodził tylko popołudniu, kiedy zwierzęta odpoczywają.

Wróciwszy do obozu, posłałem choremu chininy, herbaty i chleba, on zaś posłańcowi poradził,



Młody nahur himalajski zabity na stokach przełęczy Ming-teke.

byśmy nie nocowali na wybranem miejscu, lecz przeszli jeszcze dalej o 10—12 kilometrów, gdzie lasy się kończą: tam nocleg będzie spokojny.

Przenosić się na nowe miejsce było trochę za późno, a zresztą wstyd mi było wobec krajowców i wójtów rodów uciekać przed tygrysami. Przeciwnie, niech przyjdą, to się je oduczy napadać na obozowiska. Posłałem jednak ludzi do lasu po suche drzewo i gałęzie, żeby w nocy palić ognie; wkrótce naściągano całe stosy chróstu. Chodziło głównie o konie, żeby spłoszone nie rozbiegły się po lesie, gdzie łatwo mogły się stać zdobyczą tygrysa.

Ze zmierzchem krajobraz się zmienił. Polana, która w jasnym blasku słońca wydawała się ogromna, jakoś się skurczyła, a las przysunął się i otoczył nas czarną ścianą. Rozpaliliśmy dwa ognie i po kolacji poszliśmy spać, przywiązawszy konie mocno do wbitych w ziemię kołów i pozostawiwszy dyżurnych, żeby podtrzymywali ogień. Czy długo spałem, nie wiem. Sądzę jednak, że długo, gdyż,

leżąc na wąskiem łóżku polowem, przez sen czułem, że mi ręka zdrętwiała. Rozbudził mię wściekły ryk tygrysa. Ryk był tak bliski, iż miałem wrażenie, jakgdyby tygrys wsunął łeb do namiotu i ryknął mi nad samem uchem. Słyszałem jasno nietylko sam ryk, lecz i przejściowe gulgotanie w jego gardle. Nie byłem zresztą nowicjuszem pod tym względem: służyłem w Turkiestanie już 11 lat i nieraz zdarzało mi się spotykać z tym drapieżnikiem. Wyskoczyłem z namiotu boso z trzechrurką w ręku, boleśnie kłując się cierniem, którego nie zauważyłem z wieczora.

Konie stawały dęba, starając się zerwać z uwięzi. Ludzie rzucili się je uspokajać. Ognie przygasały; oczywiście, dyżurni zdrzemnęli się przy ogniskach. Nagle z przeciwległej strony obozu rozległ się ponowny ryk, zboku jeszcze jeden, a wszystko to tak blisko, że zdawało się, iż tygrys w tej chwili wyskoczy z gąszczu. Zaczął się prawdziwy koncert, którego echo rozlegało się w puszczy leśnej. Zdenerwowanie ogarnęło ludzi. Jeden z milicjantów strzelił w gąszcz, bo mu się zdawało, że widzi oczy błyszczące. Poczęła się strzelanina, zwiększając ogólny bezład. Wreszcie ognie rozpłonęły, oświecając jasno całą polanę, i powoli wszystko wróciło do ładu. Tylko konie, szczególnie kirgiskie, które, chodząc luzem po alpejskich pastwiskach Susamyru, często mają do czynienia z tygrysami, czuły je w bliskości, i drżąc, tuliły się do siebie. Naturalnie, noc była zmarnowana; o śnie nie było mowy. Doczekaliśmy brzasku dnia i ruszyliśmy dalej.

Wspominając ten epizod, chciałbym zaznaczyć, że tygrysy masowo zbierały się w tej okolicy tylko w jesieni, kiedy kupcy z Fergany, porobiwszy hurtowe zakupy odkarmionych baranów u Kirgizów Siedmiorzecza, z Aulieata, lub Tokmaka, powoli pędzili je przez góry Aleksandrowskie do gęsto zaludnionej Fergany. Okres przepędzania baranów z Siedmiorzecza do Fergany był niedługi i trwał od powrotu Kirgizów Siedmiorzecza z letnisk w górach na zimowe leże do pierwszych śniegów na przełęczach. Śniegi zaś na północnych zboczach pasma gór Aleksandrowskich spadały wcześnie i obficie. O okresie tym wiedziały drapieżniki, zbierały się tłumnie na drogach i rozbiegały zaraz po zamknięciu przełęczy przez śniegi.

Jeszcze jedno ciekawe spotkanie z niedźwiedziem spotykamy w opisie podróży gen. Grąbczewskiego:

Zostawiwszy wyprawę w osłonionem miejscu na brzegu jeziora Jaszyl-Kul, które dopiero poczęło się oswobadzać od szaty lodowej, z jednym kozakiem i z Kirgizem myśliwym udałem się wgórę rzeczki Aliczur, która krętemi zygzakami biegła po błotnistej, szerokiej dolinie Aliczuru, wpadając do wschodniej części jeziora. Przeszliśmy już 15—20 kilometrów, gdy raptem w oddali zobaczyłem sylwetkę człowieka, siedzącego nad brzegiem rzeki. Zaniepokojony widokiem postaci ludzkiej w tej pustyni, nie rozumiejąc, co może porabiać tu człowiek sam jeden i bez konia, pytam o to myśliwego, który, przyjrzawszy się, mówi: „To nie człowiek, to niedźwiedź, co łowi ryby“. Postanawiamy go podejść, że zaś mieliśmy świeży wiatr od jeziora, więc cofamy się do pierwszego bocznego wąwozu i miękkiemi zboczami obchodzimy niedźwiedzia z tyłu. Zostawiwszy konie za skałą, sami popełzliśmy na brzuchach, żeby podsunąć się na wystrzał i przyjrzeć się niedźwiedziej robocie. Miś, zagłębiony w pracy, pewny, że na pustynnym Pamirze nikt mu w niej nie przeszkodzi, nie był czujny i dopuścił nas na 100—120 kroków.

Siedział nad samą rzeczką w miejscu, gdzie był jej zakręt i gdzie woda się kotłowała; odłamywał łapą kawał miękkiej ziemi, rozcierał ją nad wodą obydwiema łapami, a gdy się woda zmąciła i traciła przejrzystość, zanurzał w niej obie łapy i szybkiemi ruchami wyrzucał ją za siebie, przyczem od czasu do czasu razem z wodą wylatywały z rzeczki łososiki i padały daleko na łąkę. Po pewnym czasie Miś podnosił się, mrucząc i kiwając, szedł w stronę łososi, leżących na trawie, i zjadał je, nie śpiesząc się. Potem znowu wracał do przerwanej pracy.

Przyjrzawszy się temu niezwykłemu sportowi, wstałem. Zabijać Misia nie chciałem; niedźwiedziego mięsa ludzie nie jedli, a skóra w początku lata liniała i przedstawiała niewielką wartość. Niedźwiedź był czarny, tybetański, z białą piersią i obrożą. Przyszedł, oczywiście, z odległego Hindukuszu, gdyż na Pamirach stale mieszkających niedźwiedzi jest niewiele, miękkie bowiem zbocza gór i zupełny brak lasów nie nadają się do urządzenia łoża na zimową śpiączkę; te zaś niedźwiedzie, które się tam spotyka, są brunatne i znacznie większe od tybetańskich.

Zobaczywszy mię Miś był rozgniewany, lecz nie zatrwożony. Chwilę patrzył na mnie gniewnie, mrucząc, jakby ważył, co ma robić, potem zdecydował, że nie warto z brutalem zadzierać, i powoli pokłusował w góry, zostawiając dla nas parę trzepocących się na trawie łososi.

Pokazało się, że był to czas, kiedy łososie (miejscowa nazwa „sułtanki“, Rosjanie nazywają je „marynki“) masowo płynęły z jeziora do rzeczki, żeby w cieplejszych jej wodach miotać ikrę. Obfitość ryb w rzece była wprost nie do uwierzenia. Siatki nie mieliśmy, lecz kozacy, zawiązawszy nogawice letnich spodni i włożywszy w nie kamienie, żeby opuszczały się na dno rzeki, następnie pod-

nosili spodnie częstemi ruchami do góry: w kilka minut mieli nogawice wprost nabite wspaniałemi rybami. Jedliśmy je gotowane i smażone w kotle, a oprócz tego, rozpłatawszy, suszyliśmy na słońcu i wietrze, przygotowując całe wory tego pożywnego jedzenia. O tem, że ryby w tym czasie emigrują z jeziora do rzeki, nie wiedzieliśmy. Nie wiedział o tem i nasz Kirgiz, gdyż Kirgizi ryb nie jedzą, twierdząc, że ikra i głowy „sułtanek“ są trujące. (Wierząc na słowo Kirgizowi, ikrę i głowy wyrzucaliśmy, lecz nie próbowaliśmy sprawdzać tego przesądu). Łowić ryby na Pamirze nauczył nas Miś, który nietylko wiedział o tem, kiedy je najłatwiej zdobyć, i przyszedł na tę ucztę o 150—200 kilometrów, lecz wiedział również, że najlepiej jest łowić ryby w „mętnej“ wodzie, i umiał ją zamącić.

Nie rozpatruję tu naukowej, geograficznej i krajoznawczej wartości wspaniałego dzieła.

Jako poeta stwierdzić pragnę iż znakomity podróżnik porywa nas na skrzydłach swych wspomnień w zaczarowany kraj tajemniczej Azji środkowej, na niebosiężne Pamiry w królestwo dzikiej, dziewiczej przyrody.

Jako myśliwy — jestem zdania iż dzieło gen. Grąbczewskiego jest niewyczerpaną skarbnicą klejnotów najczystszych, których garść czytelnikom naszym podajemy.

I jeszcze jedną wielką, niepospolitą i niedocenioną zasługę Grąbczewskiego podkreślić tu pragnę, zasługę, którą nasza propaganda zagraniczna podnieść i rozgłosić światu całemu powinna.

Podczas gdy wrogie nam siły usiłują ośmieszyć i zbagatelizować podróżnicze dzieła nasze i zaszkodzić Polsce — powinniśmy wskazać zagranicy, iż posiadamy nietylko prace, które nas na zarzuty narazić mogą, lecz i dzieła, które sławą i dumą okrywają imię Polski.

Juljan Ejsmond.

Przypisek Redakcji: Załączone fotografje stanowią część fotografji z dzieła gen. Grąbczewskiego dokonych przez znakomitego podróżnika podczas jego podróży.

ŁOWY.

Wysmukły zulus — posąg grecki,
Do puszczy śpieszy tajemniczej.
Od dziecka obrał stan łowiecki
I nowej pragnie wciąż zdobyczy.

Na piersi pełno blizn i znamion,
Złocista obręcz lśni na skroni,
Lamparcia skóra zwisa z ramion,
Za pasem nóż i dziryt w dłoni.

Muskuły rąk i nóg stalowe;
Dzikiego zwierza lekkość chodu.
Dumnie wspaniałą nosi głowę
Najwyższy wódz swojego rodu.

Król zwierząt przespał sen głęboki,
(Nie lubi dnia zwyczajem kotów).
Ogonem płowe strzepnął boki,
I już na łowy nocne gotów.

Poświatę słońca coraz bledszą,
Zbiera wieczorny mrok po lesie.
A nozdrza lwa ciekawie wietrzą
Skąd los dzisiejszy łup przyniesie.

Już poczuł woń! Już płoną oczy!
Już grzywa się na karku jeży!...
Wężowym ruchem, zwinnie kroczy
Ku zastawionej dziś wieczerzy.

Już się spotkali oko w oko.
Stanęli milcząc—zwierz i człowiek.
I cisza stała się głęboką
Na jedno krótkie mgnienie powiek.

Lew ryknął pierwszy! Głos potężny
Powtarza puszczy głąb daleka...
A w odpowiedzi, dumny, mężny,
Zagrzmiał bojowy zew człowieka.

Walka! Dwa ciała mięśnie prężą!
Wszak tu o życia idzie prawo...
Dwie piersi ryczą, charczą, rzężą,
Dwie pary źrenic płoną krwawo.

Skok! Chwyt miażdżący lwiej paszczęki!...
Okropny krzyk w obliczu śmierci.
I cios ostatni zbrojnej ręki,
Przez żebra stal do serca wierci.

Śród powichrzonych ljan i pnączy,
Bezwładnie cielsko leży płowe...
A rubinowa krew się sączy,
Barwiąc zulusa martwą głowę...

Wieczorny mrok po lesie płynie,
Na niebie gwiazdy noc zapala,
I coraz bliżej brzmi w gęstwinie
Hijeny śmiech i płacz szakala.

Jerzy Marlicz.



Jakie być powinny buty myśliwego.

Skórznie myśliwskie jałowicze w korze dębowej wyprawne, łojem gorącym napalone, smolną dratwą mocno uszyte, dla wody odporne, a lekkie i miękkie przechodzą potrosze do legendy. Dziś modna szybka wyprawa daje skórę chłonącą wodę i nogom nieprzyjazną.

W ostatniej dobie nietylko myśliwi, ale coraz liczniejsze rzesze ludzi zmuszonych dla rzemiosła czy sportu przebywać na polu i w lesie, bez względu na pogodę, pragną mieć obuwie do naszych dawnych skórzni podobne. Jak ważną jest sprawa — świadczy np. komunikat min. rolnictwa Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., który poucza jak następuje: Skóra na obuwie, przewiewna i dla wody zupełnie nieprzenikliwa, jest nieziszczalnem marzeniem. Obuwie aby nie było wręcz szkodliwem, musi zapewnić nogom dostęp powietrza, a przenikanie wody do wewnątrz możliwie utrudnić. Należy więc smarować przyszwę i podeszwę tłuszczem gorącym, bacząc głównie na miejsca gdzie przyszwa łączy się z podeszwą, którędy najczęściej woda przenika.

Niżej podpisany szewc, Św. Huberta wyznawca niegodny, a naszego „Przeglądu Myśliwskiego“ zwolennik, pozwala sobie niniejszym rad kilku udzielić tym, co dobre buty myśliwskie mieć pragną, a do Londynu im niesporo, gdzie dobre tradycje rzemiosła przechowały się najlepiej. Dobre więc buty powinny mieć bodaj samą przyszwę ze skóry wyprawy roślinnej, nie chromowej, w braku skory juchtowej można wziąć t. z. hamburską, którą się z końskich pośladków wyrabia, jest bardzo zwięzła i musi być, dla miękkości, mocno tłuszczem nasycona. Skórę juchtową należy smarować częściej, hamburską mniej często. Co do podeszwy—lepiej mieć cieńszą, a jędrną, niż grubą a luźną. Przykro powiedzieć, ale dobre podeszwy są tylko zagranicą. Jest to związane z hodowlą, która daje surowiec i wyprawą, która u nas, z małemi wyjątkami, jest niegodziwa. Buty, oczywiście, należy mieć szerokie, wygodne i takie, które łatwo zdjąć i włożyć.

Według mnie, do polowań w naszych warunkach najlepiej służą buty z cholewami lżejsze lub grubsze; na Zachodzie używają przeważnie obuwia sznurowanego o niskich cholewkach i przypinanych cholewach, u nas, według mnie, rzadko bywa ono praktycznem. Odpowiedniej wagi but z cholewą zawsze chroni nogę myśliwego lepiej niż inne obuwie.

Tylko w ciepłe dni letnie, polując na kaczki, można mieć bylejakie, aby wygodne trzewiki na nogach, dbając przecież, aby po polowaniu, wilgotne jeszcze, tłuszczem wysmarować, by nie stwardniały, nie zeschły się i nóg potem nie raniły.

Bardzo wskazanem jest, aby po polowaniu, w mokre jeszcze obuwie wkładać t. z. prawidła. To zapobiegnie kurczeniu się obuwia przy wysychaniu i zwiększy jego trwałość. Smarować też najlepiej buty na prawidłach i to nie szmatką ni szczotką, a dłonią, która będąc miękką i ciepłą, rychlej tłuszcz do skóry wprowadza.

Jeszcze słówko: czegokolwiek w sprawie butów w tym artykuliku nie napisałem, to zawsze życzliwie i bezinteresownie powiem każdemu, kto jest miłego nam „Przeglądu Myśliwskiego“ przyjacielem.

Stanisław Hiszpański.



Przeczucia u zwierząt.

Znanem zjawiskiem jest zdolność zwierzęca do przewidywania na kilka tygodni naprzód zmian pogody i ciepłoty w przyrodzie. Jest to jakieś specjalne w organizmach zwierzęcych uzupełnienie ich zmysłów, bez tego już znacznie bardziej wyostrzonych niż zmysły ludzkie. Z tej samej dziedziny dziwów zwierzęcych zanotować też należy u psów zdolność „przeczucia" na znaczną odległość obecności pana.

Znane są wypadki, że psy biegły kilka kilometrów naprzeciw wracającego pana, podczas gdy powrót jego był nieoczekiwany i nieoznajmiony; znane i notowane są fakty, że psy przeczuły nieszczęście, wypadek lub śmierć pana, przebywającego w innnej miejscowości.

Szczur „opuszczający okręt" przed zatonięciem stał się przysłowiowym. Szczur ten jest klasycznym przykładem „instynktu katastrofy" jaki mają posiadać zwierzęta. Gdy swego czasu zdarzyło się wielkie trzęsienie ziemi na wyspie Martynice, łącznie z wybuchem wulkanu Mont Pele, rozmaite dzikie i swojskie zwierzęta zdołały katastrofę przeczuć i ratowały się skutecznie ucieczką w strony bezpieczne.

Rzeczą ze wszech miar zajmującą jest pewien fakt dodatkowy, z ową ucieczką zwierząt związany. Oto gdy na Martynice zauważono ów dziwny ruch zwierząt, delegowano spejalną komisję naukową dla zbadania tego fenomenu. Komisja wypowiedziała przekonanie, że przyczyna jest nieznana, ale w każdym razie nie należy przypuszczać, by widmo jakiegoś niebezpieczeństwa wywoływało ową wędrówkę masową. W kilkanaście dni później nastąpiła owa straszna katastrofa; ani jeden z członków komisji nie ocalał.

Nie tylko na Martynice, ale w wielu innych punktach świata zwierzęta przeczuły — czy to wybuch wulkanu, czy trzęsienie ziemi. W Alpach znane są wypadki, że bydło rogate, kozy i owce przeczuwały kiedy i którędy spadnie lawina i zawczasu się ratowały, a nawet siłą nie można było wciągnąć ich w zagrożone lawiną miejsca.

W r. 1872 zanotowano w Przemyślu fakt, że na kilka dni przed wybuchem epidemji cholery, która zabrała wówczas 5 procent mieszkańców, kolonje wron i kawek gnieżdżących się na wieżach kościelnych i na drzewach w parku miejskim, opuściły miasto i przeniosły się do oddalonego lasu i dopiero po wygaśnięciu epidemji wróciły z powrotem do miasta.



„Łowiec Polski" w dodatku do № 12 pomieścił przypisek zarzucający pismu naszemu wydrukowanie „Wzoru statutu gminnych Kółek Łowieckich" „bez wiedzy i upoważnienia autorów".

Słowa powyższe stwierdzają zupełną nieznajomość obowiązujących w Polsce przepisów prasowych. Wzór statutu gminnych Kółek łowieckich aczkolwiek opracowany przez kilku członków Centr. Związku Stow. Łowieckich poprawiony przez Min. Rolnictwa i Min. Spraw Wewnętrznych i zatwierdzony przez to ostatnie nie może być w żadnym razie traktowany jako artykuł stanowiący własność autorską. Przeciwnie, prawny jego charakter i cel propagandystyczny wymagają najszerszej popularyzacji i jak najszerszzch przedruków. Statut pismu naszemu został przesłany do druku przez referat łowiecki Min. Rolnictwa i D. P.

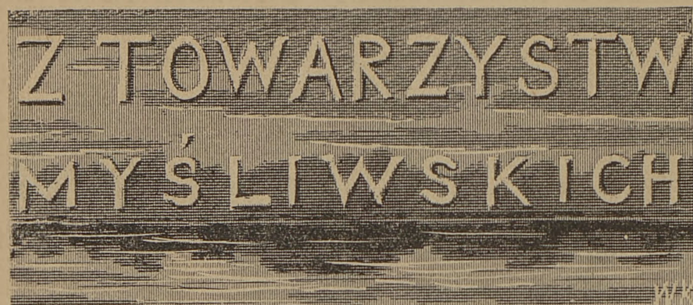
Redakcja nasza nie mogąc przemilczeć podobnego zarzutu przedsięwzięła odpowiednie kroki i wystosowała do Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego" oficjalny list w tej sprawie.

PRZEPISY DOTYCZĄCE PRZEWOZU ZWIERZYNY KOLEJĄ.

Referat Łowiectwa Min. Roln. i D. P. komunikuje, iż otrzymał z Ministerstwa Kolei informacje w sprawie przewozu zwierzyny koleją:

1) Jako zwykły bagaż przyjmowane są zwierzęta świeżo ubite i przez polujących wiezione, o ile krwawiące części są tak zasłonięte, że inny bagaż nie może być przez nie zanieczyszczony (punkt C, części II Przepisów Wykonawcz. do art. 30 p. p. Dz. Ustaw Nr. 31 r. 1923 poz. 193). Z tego wynika, że niekonieczne jest opakowanie całkowite.

2) Kolej nie ma prawa żądać świadectwa weterynaryjnego do przewozu strzelanych dzików, gdyż zwierzęta te nie są wymienione w Rozporządzeniu Min. Roln. i D. P. z dn. 14/V 1920 (Dz. Ustaw Nr. 44 poz. 248), Min. Kolei zaś żadnych zarządzeń w tej sprawie nie wydawało.



KÓŁKO MYŚLIWSKIE 84 P. P.

Dzięki inicjatywie p. d-cy. 84 p. p. ppułk. A. Wira-Konasa powstało w Pińsku „Kółko myśliwskie 84 p. p." — Na prezesa zaproszono p. płk. Stanisława Tessarę, z Kobrynia. — Do zarządu kółka weszli pp.: ppułk. Wir-Konas, kpt. Wysocki, por. Skowroński, por. Leszczyński, ppor. Wargocki. Kółko robi starania o pozyskanie własnych terenów. Tymczasem ścisły kontakt utrzymywany przez 84 pp. z miejscowem społeczeństwem, sprawił, że kółko ma polowania zimowe zapewnione. Starania i energja ppułk. Wina-Konasa, inicjatora oprócz kółka i innych poczynań sportowych w Pińsku, dają gwarancję rozwoju nowej łowieckiej placówki.



W dn. 6, 7 i 8 b. m. odbyły się w puszczy Knyszyńskiej łowy na grubego zwierza. Dzięki umiejętnemu i wytrawnemu odstraszaniu zwierzyny przez nagankę goście z grubszej zwierzyny mieli na strzał tylko nadleśnego, który z powodu pory ochronnej nie mógł się niestety znaleźć na rozkładzie.

Zwierzostan w Nadleśnictwie wspaniały, choć dzikich świń widziano o wiele mniej niż swojskich. *„Wdzięczny uczestnik"*.

Rebus myśliwski.

Rebus ten odczytywać trzeba w polskiej mowie a otrzyma się znane francuskie przysłowie.

ułożyła M. E.



Pomiędzy Czytelnikami, którzy nadeślą rozwiązanie niniejszego rebusu rozlosowanem zostanie wspaniałe dzieło gen. Grąbczewskiego: „Przez Hindukusz do źródeł Indus".

Wielki Konkurs dla naszych Czytelników.

Celem udostępnienia jaknajszerszym sferom myśliwych książki łowieckiej Redakcja „Przeglądu Myśl. i Łow. Polsk." ogłasza niniejszem konkurs na zdobycie największej ilości nowych prenumeratorów naszego pisma.

Każdy, kto nam dostarczy 5 nowych prenumeratorów, otrzyma ROCZNĄ BEZPŁATNĄ PRENUMERATĘ PISMA.

Każdy, kto nam dostarczy 10 nowych prenumeratorów otrzyma ROCZNĄ BEZPŁATNĄ PRENUMERATĘ PISMA, **dzieło** Ks. **Niedbała** „Z ŁOWISK WIELKOPOLSKICH" **znakomite dzieło Włodzimierza Korsaka** „PIEŚŃ PUSZCZY".

Każdy, kto nam dostarczy 25 nowych prenumeratorów otrzyma DWULETNIĄ BEZPŁATNĄ PRENUMERATĘ PISMA, **dzieło inż. Wiesława Krawczyńskiego** „ŁOWIECTWO" **Włodz. Korsaka** „ROK MYŚLIWEGO" oraz **Włodz. Korsaka** „PIEŚŃ PUSZCZY".

Kto zaś dostarczy NAJWIĘKSZĄ ILOŚĆ prenumeratorów ponad 25 do 1 stycznia 1924 r. otrzyma „BIBLJOTEKĘ MYŚLIWSKĄ" złożoną z 10 następujących **dzieł łowieckich:**

1. **Inż. Wiesław Krawczyński „ŁOWIECTWO"**
2. **Ks. Ludw. Niedbał „Z ŁOWISK WIELKOPOLSKICH".**
3. **Włodzimierz Korsak „ROK MYŚLIWEGO".**
4. **„ „ „KU INDYJSKIEJ RUBIEŻY".**
5. **„ „ „PIEŚŃ PUSZCZY".**
6. **Włodzimierz Korsak „VENATOR".**
7. **Józef Weyssenhoff „SOBÓL i PANNA".**
8. **„ „ „PUSZCZA".**
9. **Henryk Sienkiewicz „W PUSTYNI i W PUSZCZY".**
10. **Jack London „ZEW KRWI".**

Książki zostaną wysłane natychmiast po opłaceniu kwartalnej prenumeraty.

Termin upływa dnia 1-szego stycznia.

Redaktor: Juljan Ejsmond.
Dyrektor Zarządzający: B. Perzyński.
Wydawca: Myśliwska Spółka Wydawnicza (Sp. z ogr. odp.)
Zarząd: Juljan Ejsmond, W. Korsak, B. Perzyński.
Honorowy Komitet Redakcyjny: Gen. Bronisław Grąbczewski, Józef Gieysztor, i Wł. Janta Połczyński.
Redaktor przyjmuje od godz. 1 — 2 we środy w mieszk. prywatnem Pl. Trzech Krzyży 12 m. 3-a.
Redakcja i administracja: Nowy Świat 21 (księgarnia Perzyński, Niklewicz i S-ka) tel. 107-37.
Cena numeru: 1 zł. Prenumerata kwartalna płatna z góry (z odsył. do domu) — **5 zł.** Konto czekowe w P. K. O. Nr. 7595.
Cena ogłoszeń strona — **80 zł.** $^1/_2$ str. — **40 zł.;** $^1/_4$ str. **25 zł.;** $^1/_8$ str. — **15 zł.;** $^1/_{16}$ str. — **8 zł.** Cena pierwszej i ostatniej strony o 50 proc. drożej.
Klisze wykonano w zakładzie artystyczno-cynkograficznym Czesława Mielnickiego i S-ki.